później. Wjeżdżamy na niego i płacimy frycowe (dla świętego spokoju, chcąc uniknąć rozróby płacimy naszemu opiekunowi 2.000 CFA i 2.000 OUG). Tylko ten zszedł z promu, a już pojawili się następni opiekunowie. Tym razem grzecznie ich zwodzimy, że najpierw załatwmy sprawę, a później pogadamy. Dobijamy do brzegu mauretańskiego, tutaj pogranicznicy zbierają dokumenty – Gosia idzie z nimi pilnując papierów, a ja czekam na swoją kolej, by zjechać z promu. Jak tylko zjechałem, zaparkowałem pod posterunkiem, pozamykałem samochód i przyłączyłem się do Gośki. Ponad godzinę trwało załatwienie formalności policyjnych, rejestracyjnych i celnych (kosztowało nas to 4.500 OUG). Następnie poszliśmy do biura ubezpieczeń wykupić polisę 3-dniową dla „Dyskoteki" (2.600 OUG) oraz opłatę promową (4.000 OUG). Potem wsiedliśmy do samochodu, zostawiliśmy opiekunów i wyjechaliśmy poza przystań promową, gdzie odetchnęliśmy z ulgą. Łączny koszt dzisiejszych opłat to 5 Euro, 16.000 CFA oraz 13.100 OUG – czyli ok. 76 Euro.

Wjeżdżamy do Mauretanii. Tutaj wszystko wygląda znajomo, tylko w każdej mijanej osadzie przy drodze stoją tłumy ludzi, wiwatują i pozdrawiają nas i siebie wzajemnie. A z naprzeciwka przejeżdżają kolumny samochodów (nieraz po kilkadziesiąt). I wszędzie transparenty i plakaty. Tak docieramy do stolicy zwanej Nouakchott. Tutaj euforia jest jeszcze większa – wszędzie tłumy, okrzyki, ale widzimy również służby prewencyjne (które na szczęście nie interweniują). Z duszą na ramieniu przejeżdżamy przez stolicę i na jednej z rogatek za miastem pytamy policjanta, co się dzieje. A to tylko wybory prezydenckie.

Jedziemy długo. Dopiero po północy zatrzymujemy się przy stacji benzynowej i lokujemy do spania w samochodzie. Do granicy zostało nam raptem z 80 km, a przypuszczamy, że otwierają ją gdzieś koło 8.00, więc nie musimy się śpieszyć. Przed snem mamy okazję podziwiać późny wschód księżyca. Jest jakby dużo bliżej niż zwykle i ma silną pomarańczową barwę. A najdziwniejsze jest to, że połówka skierowana jest w dół (inaczej niż w Polsce).Wstajemy gdzieś koło 7.00, a stacja wygląda na opuszczoną. Kiedy w budynku otwierają się drzwi, widzimy leżącego na podłodze pracownika. Dowiadujemy się od niego, że paliwo jest i można zatankować.

Wydajemy więc wszystkie lokalne ougije oraz CFA (których nie wydaliśmy w Senegalu) i tankujemy samochód, z nadzieją, że wystarczy do pierwszej stacji na marokańskiej Saharze (nie zanotowaliśmy, gdzie była ostatnia, a nie chce się już nam wracać do Nouadhibou (nadrobilibyśmy ponad 100 km). Ruszamy więc do granicy, na którą docieramy koło 8.00.

Po mauretańskiej stronie formalności załatwiliśmy błyskawicznie, przejechaliśmy przez strefę zaminowaną (!!!) i stanęliśmy na przejściu marokańskim. A tutaj mają czas. W ogonku stało kilkadziesiąt samochodów, więc zaparkowaliśmy „Dyskotekę" i ruszyliśmy pieszo po wszystkich punktach – pierwsza była żandarmeria, następnie policja, gdzie musieliśmy najpierw wypełnić fiszki i zostawić paszporty, a potem swoje odczekać. Kiedy czekaliśmy na zwrot paszportów poznaliśmy pewną Amerykankę, która jeździła po krajach afrykańskich i pracowała w jednej z organizacji charytatywnych. Rozmawialiśmy z nią kilkanaście minut wymieniając się wzajemnymi wrażeniami. Jak tylko dostaliśmy paszporty, ruszyliśmy na wizytę do celników. Tu wszystko poszło gładko, wypisane zostały kwitki i kazano nam podjechać samochodem. Celnicy sprawdzili nr nadwozia, popatrzyli pobieżnie po bagażach i kazali jechać. Ostatnim punktem programu granicznego był „dog-control". Zabawa polegała na wpuszczeniu psa do naszego samochodu – pewnie w celu poszukiwania narkotyków – ale pies raczej był skory do zabawy, więc na wiele się nie przydał. W ten sposób wróciliśmy do Maroka. Było już dobrze po 10.00.

Ruszamy na Saharę. Podróż jest trudna. Od strony pustyni w kierunku oceanu wieje silny wiatr, który utrudnia jazdę: stawia duży opór i niesie ogromne ilości piasku. Pustynia wygląda jak przykryta śniegiem, jest niemalże biała – niesamowity widok. Po drodze zatrzymujemy się kilka razy oglądając piękne klifowe wybrzeża. Mijamy zjazd na Dakhla i kierujemy się do Boujdour. Zamierzaliśmy dojechać dalej, ale ja już nie wytrzymałem. Pokonaliśmy dzisiaj ok. 700 km. Kwaterujemy się więc w portowym Boujdour, a przed snem idziemy jeszcze na małą kolację. W przydrożnej knajpce jem porcyjkę baraniny. Gosia jak zwykle – rezygnuje.

Nazajutrz panuje przyjemny chłodek. Na tyle chłodny, że z hotelu wychodziliśmy ubrani w polary (coś nie afrykańsko). Wyjeżdżając z Boujdour zauważamy, że to tu była właśnie strusia brama. Ruszamy na pustynię. Prawdopodobnie na tej wyprawie już po raz ostatni. Dzisiaj na Saharze jest wyjątkowo chłodno – rano temperatura nie przekracza 26°C. Jednak cóż to jest w porównaniu do temperatur, jakie notowaliśmy na mauretańskiej pustyni. Mijamy potężne zakłady przemysłowe i portową Marsę i docieramy do Laayoune. Uzupełniamy zapasy paliwa i ruszamy dalej. Dzisiejszy dzień jest tranzytowy, chcemy dotrzeć możliwie jak najdalej.

Po jakimś czasie mijamy Tah – symboliczne graniczne miasteczko między okupowaną Saharą Zachodnią a Marokiem właściwym. Mijamy Tarfayę i docieramy do Akhfanir, gdzie zaczyna się wybrzeże klifowe. Za miejscowością Tan-Tan pustynia właściwie się

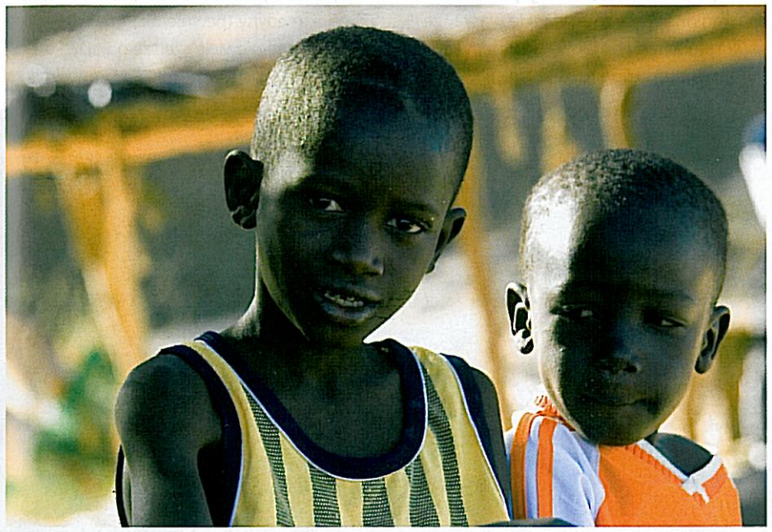

kończy. Zaczynają się pierwsze marokańskie góry. Gosia – znudzona saharyjskim klimatem – wyraźnie się ożywia. Zwłaszcza, gdy jedziemy górską doliną w kierunku oceanu. Późnym popołudniem docieramy do starego, hiszpańskiego miasteczka – do Sidi Ifni. Kwaterujemy się w hoteliku „Suerte Loca" położonym prawie nad samym brzegiem morza. Jako, że jeszcze jest jasno – słońce dopiero zbliża się do linii horyzontu – wybieramy się na spacer. Większość atrakcji zlokalizowana jest wokół placu hiszpańskiego. Najładniejszy budynek – dawnego konsulatu – jest zrujnowany. Spacerujemy po placu i docieramy do latarni morskiej. W drodze powrotnej zatrzymujemy się w restauracji „Nomad". Zamawiamy pyszną sałatkę i doskonałe rybki – byliśmy już bardzo głodni. Właściciel lokalu życzy nam po polsku „smacznego", chwaląc się przy okazji, że jego kucharz był w Krakowie i zna trochę polski (w ten sam sposób zaskoczył nas, pytając, czy jesteśmy z Polski). Po pysznym obiedzie poszliśmy do kucharza dziękując mu po polsku.

Poranek w hoteliku zaczynamy od wizyty na tarasie (na dachu), skąd mamy widok na ocean i miasteczko. Widać stąd również oryginalny budynek o kształcie statku. Przed wyruszeniem w dalszą drogę posilamy się w hotelowej restauracji (Gosia – tradycyjnie omlet, a ja – naleśniki z czekoladą – pycha). Ruszamy dalej na północ. Po drodze zatrzymujemy się w osadzie Legzir, gdzie jest fajna plaża oraz niewiarygodne formacje skalne. Dotarcie do dwóch naturalnych mostów skalnych zajmuje nam około godziny. Kierujemy się na Tiznit, w którym zatrzymujemy się na krótki serwis: wymieniam filtr powietrza i kontroluję najważniejsze podzespoły (usuwam też maskownicę ze snorkela). Ruszamy w drogę, którą prawie natychmiast gubimy. Zatrzymujemy się i pytamy młodych chłopaków o drogę – jak dowiedzieli się skąd jesteśmy, to najpierw zapytali czy mamy piwo lub wódkę. Tak nas właśnie w świecie kojarzą – niestety. Mijamy Tiznit i kierujemy się na Tafraoute. Początkowo droga jest raczej nijaka, ale później – zmienia się. Jedziemy po wąskich, górskich dróżkach wijących się w dość zróżnicowanym krajobrazie. Strasznie się nam to podoba. Mijamy wiele uroczych wiosek i miasteczek, zlokalizowanych raz na zboczach gór, innym razem głęboko w dolinach. Jest to wielkie urozmaicenie po niezwykle płaskiej, czarnej Afryce.

Po kilku godzinach jazdy docieramy do Tafraoute. W okolicznych wioskach są przepiękne formacje skalne. W jednej z wiosek – Agard – docieramy do malowanych skał. To dużo powiedziane. Ich twórcą jest Belg, Jean Veran. To, co zrobił z przepiękną okolicą, powinno być karalne. Pooblewał kolorowymi farbami kilka formacji skalnych, szpecąc je dokumentnie, ale powstała wielka atrakcja turystyczna. Zniesmaczeni wracamy, gdy zauważamy wąską, polną dróżkę, prowadzącą wysoko w góry. Gdzieś na jej końcu widzimy maleńkie domki, więc decydujemy się je odwiedzić. Mamy kolejny off-roadzik. Wjeżdżamy 5 km wysoko w góry i docieramy do malowniczej wioski. Tam pojawia się problem. W wiosce droga zasypana jest kamieniami, a jej szerokość uniemożliwia właściwie zawrócenie. Dopiero po kilkukrotnym obiciu „Dyskoteki" jesteśmy ustawieni w odpowiednim kierunku. Wracamy do głównej szosy i kierujemy się na Agadir. Późnym wieczorem docieramy do Oulad Teima, gdzie zostajemy na noc.

Wczesnym rankiem docieramy do Taroudant. Pierwsze co rzuca się nam w oczy to wspaniałe mury okalające miasteczko. Przez jedną z bram wjeżdżamy do wewnątrz i kierujemy się na kazbę. Tutaj na przydrożnym parkingu zostawiamy samochód i ruszamy zobaczyć twierdzę. Dzisiejsza kazba to właściwie tylko mury obronne, wewnątrz których powstała podobna do Medyny dzielnica. Zwiedzamy ją wczesnym rankiem, więc jest tu spokój. Można bez przeszkód wałęsać się po